

# Więc nie prześladujcie zła zbyt uporczywie...

Marek KORDOS, Warszawa

Tytuł widniejący wyżej to fragment songu z *Opery za trzy grosze* Bertolda Brechta. Ma on nas pouczyć... ale może nie warto rozwijać ogólnej teorii w sytuacji, gdy konkrety są dostatecznie interesujące.

W połowie listopada otrzymałem list, którego Autor narzekał, iż poprzednia Szkoła Matematyki Poglądowej nie była dostatecznie pogładowa, a prawdę powiedziawszy miała sporo odczytów, których mój korespondent po prostu nie rozumiał. Pytał więc, kto to zdecydował, że takie, i tak mówione, odczyty znalazły się w programie Szkoły, a jeśli to tylko „tak się samo porobiło”, to dlaczego sytuacja nie została rozpoznana i zlikwidowana. Głębi sprawie dodaje fakt, że mój korespondent jest członkiem Rady Programowej OKM już ponad pięć lat.

Owa głębia daje się, oczywiście, prosto wyjaśnić przyjęciem założenia, że w OKM jest „system totalitarny” i to z jednoosobowym kierownictwem (moim mianowicie). Stąd zasadne staje się np. pisanie do mnie listów objaśniających mnie, co się dzieje, i odwołujących się do resztek inteligencji i dobrego smaku (jakie, być może, jeszcze kołaczą się w mojej głowie) oraz sumienia, abym zło, do którego dopuściłem, naprawił.

W tym tekście pragnę podjąć dyskusję z moim korespondentem. Sądzę mianowicie, że w czasach, gdy socjologia (i pedagogika) kolektywu stały się czymś w rodzaju liturgii czarnej mszy i przyzwoitym ludziom nie są znane nawet z nazwy, warto o takich sprawach, jak funkcjonowanie przedsięwzięcia tego rodzaju, co OKM, pomyśleć i pomówić. Tym bardziej, że od dostatecznie długiego już czasu nie była prowadzona ani (o ile wiem) kuluarowa, ani „plenarna” dyskusja programowa. A jest w końcu rzeczą naturalną wiązać pożądaną sposob funkcjonowania jakiejś placówki z celem, któremu jej działalność w założeniu ma służyć.

\* \* \*

Każdy, kto zajrzy do pierwszego numeru *M-S-N*, stwierdzi (przeważnie z niesmakiem), że u kolebki OKMu stała nie tylko grupa matematyków, która się skrzyknęła do działania, nie tylko siedlecka Uczelnia, która chciała z tą grupką rozmawiać i która okazała tej grupce zaufanie, że to, czego chce, jest godne szacunku. U tej kolebki stała też organizacja partyjna tej uczelni. Niestety, nie mogę nic specjalnie dobrego powiedzieć o wkładzie stosownego komitetu PZPR w powstający OKM. Przypominam o tym ze względu na pytania, jakie otrzymuję, czy – mianowicie – powinniśmy kolportować (a nawet dodrukowywać) pierwszy numer *M-S-N*, skoro w nim są takie kompromitujące OKM informacje. Jednak dziś, gdy o różnych czerwonych pajęczynach mówi się głośniejsz niż o „pozostalej” części rzeczywistości, wypada odnieść się i do tej części OKMowskiej historii.

W czasach, o których mowa (czyli wtedy, gdy powstawał OKM), nie sposób było zorganizować legalnego przedsięwzięcia bez zgody właściwej (?) organizacji partyjnej. I to, w przypadku OKM, jest dość powszechnie uważane za wystarczające wytłumaczenie. Nie upraszczajmy jednak sprawy.

Obiektem budzącym duże zainteresowanie mnie podobnych były pod koniec lat pięćdziesiątych prace młodego, wybitnego uczonego amerykańskiego, przez wielu (w tym i przez niego samego) uważanego za Polaka (co jest niewątpliwym zaszczytem dla polskiego środowiska politologów). Zbigniew Brzeziński, bo to o jego pracach mowa, propagował teorię konwergencji. Termin ten, wprowadzony jako naukowy po raz pierwszy w biologii przez Cuviera, oznacza upodobnienie wywołane podobnymi warunkami bytowania. Nikt nie będzie kwestionował ogólnego podobieństwa rekinów i delfinów, choć te pierwsze są prymitywnymi rybami chrzęstnoszkieletowymi, podczas gdy drugie są wysoko zorganizowanymi

Dla wszystkiego wyjaśnienie: nie byłem, ani przez moment, członkiem PZPR; również, ani przez moment, nie byłem członkiem Solidarności – nie umiem obudzić w sobie dostatecznie wiele pokory, by znaleźć dla siebie miejsce w masowej (a więc zrzeszającej dobrych i złych, uczciwych i, powiedzmy, pokretnych ludzi). Natomiast byłem dostatecznie ciekawy, by zaglądać, gdzie się da, a nawet zwiedzać tak rozmaite pałace, jak i (na koszt Państwa) tzw. kazamaty. Nie wiem, czy takie wyjaśnienie jest konieczne, ale znam wielu, dla których wydaje się potrzebne.

ssakami. Podobnie, każdy, kto zjrzał w oczy ośmiornicy, wie, iż jej oczy są zdumiewająco ludzkie, choć nasze pokrewieństwo z ośmiornicami jest niewiele bliższe, niż posiadanie wspólnego przodka jamochłona, a konkretnie już, oczy są u ośmiornicy produktem skóry, gdy u nas są odnóżką mózgu. Ale, oczywiście, wspomniane prace, które budziły nasz zapał, nie dotyczyły biologii, lecz teorii i praktyki społeczeństwa. Wychodziło z nich, ni mniej, ni więcej, że rację mieli (jak to się dzisiaj pisze) bolszewicy agitatorzy, którzy twierdzili, że pijąc *Coca-Colę* można się zarazić imperializmem. Bo pragmatyczna część tych prac mówiła, iż nosząc powszechnie dżinsy, oglądając hollywoodzkie filmy, mogąc od czasu do czasu dotknąć, a nawet zająrzeć pod maskę forda czy opła zaczniemy w coraz większym stopniu myśleć tak jak ci, którzy mają to na codzień, zaczniemy coraz bardziej chcieć, może nawet domagać się by żyć w takich warunkach, jak się żyje TAM. Bo przecież Walt Disney, Marylin Monroe czy bożyszcze moich rówieśników, Audrey Hepburn, a także ford, opel, dżinsy czy wreszcie *Coca-Cola* są wyprodukowane przez tamte, konkretne warunki i do nich właśnie przystają. Może więc byt kształtuje świadomość, na pewno jednak świadomość kształtuje potrzeby, potrzeby zaś rodzą dążenia, te zaś dają w efekcie zmiany. Nawet gdyby się potem nie okazało, że cały ten scenariusz rozbije wschodnioeuropejski świat, to i tak warto było w to uwierzyć. No więc wierzyliśmy.

Wiara ta była jednak dostatecznie przytomna, by zdawać sobie sprawę nie tylko z chcianych konsekwencji niechybnych zmian, lecz także i z tych niechcianych: bezrobocie, bardzo nierówny dostęp do oświaty (to w tym przypadku liczy się najbardziej) i lecznictwa, likwidacja bezpieczeństwa socjalnego. Ja wiem, że o tych „wadach” uczono w szkole, ale proponuję, byśmy byli i dziś na tyle przytomni, by nie wyobrażać sobie, że nikt nie wierzył w nic, co przekazywała szkoła (dotyczyło to nie tylko tabliczki mnożenia) i że szkoła przekazywała w większości rzeczy kłamliwe (cytat z wybitnego opozycjonisty: *największym dorobkiem realnego socjalizmu jest to, że dobrze przygotował i wykształcił tych, którzy go obalili*). Zakładano więc dżinsy i starano się uratować przed wszytymi w nie zarazkami.

Wtedy (ciągle są to jeszcze lata pięćdziesiąte) narodziło się przekonanie, że Brzeziński (uogólniony, rzecz jasna) racji nie ma. Niemożność odszukania w obrębie uprawianego socjalizmu wartości zdolnych konkurować z powabem dżinsów była jednak oczywista. Jako możliwą odtrutkę stosowano Lwa Bronsteina (nie ma nikogo o tym nazwisku w sześciotomowej najnowszej encyklopedii PWN), czyli Trockiego. Napędzał on próbę odnowienia ideowego socjalizmu (walcząc poprzez swoich zwolenników) przez lata sześćdziesiąte i padł ostatecznie, gdy konkurencja okazała się nieuczciwa. Bo dżinsy zaczęły działać. W 1970 roku partia, która do dziś wydaje się np. KPNowi bolszewicką, wprowadziła Polskę w tzw. III świat. Mielśmy mieć prawdziwy Zachód, ale tylko dla otoczenia (czasami nawet szeroko rozumianego) ekipy sprawującej władzę – tak jak w Boliwii, Hondurasie, Salwatorze, Paragwaju i temu podobnych twierdzących zachodniej demokracji. Walka między poszczególnymi orientacjami o to, kto będzie sprawującą władzę ekipą, przybrała na sile. Ale w interesującym nas temacie już wtedy zrobiło się wszystko jedno. Kto by nie wygrał, oświata miała stać się elitarna (только для актива bądź też *for VIPs only* – albo potrzebne było wylegitymowanie się odpowiednimi koneksjami, albo odpowiednio wypchanym portfelem).

Ten długi wstęp jest po to, by wytłumaczyć, dlaczego obie strony toczącego się w latach osiemdziesiątych konfliktu były jednakowo nieprzyjazne dla tych, którzy wyobrażali sobie, że skuteczne niesienie przed narodem oświaty kagańca jest sprawą najwyższej wagi. Wyprowadzić z takiego poglądu potrzebę powołania nieinstytucjonalnego ruchu na rzecz przybliżenia matematyki społeczeństwu jest bardzo łatwo.

I ten, kto podzielał opinię wypowiedzianą w zdaniu rozpoczynającym poprzedni akapit, nie widział, rzecz jasna, niczego niewłaściwego we współpracy z obiema stronami barykady w kwestii ratowania oświecenia powszechnego przed

Niechciane zmiany są często nazywane kosztami. Jest to – takie ich nazywanie – bardzo wprowadzającą w błąd praktyką. Sugeruje się bowiem, że zmiany niosą w sobie jedynie to, co my uważamy za dobre; koszty zaś to jakby zanieczyszczenia powstałe w trakcie produkcji pozytywów. Tymczasem i te dobre i te złe są w jednakowym stopniu cechami stanu po przewrocie.

Oczywiście, rozróżnienie i zarezerwowanie słowa *zmiany* jedynie dla pozytywnych zmian jest zrozumiałe propagandowo. Wyobraźmy sobie bowiem działacza powstającego w sierpniu '80 związków zawodowych, który dowodzi, że również chcemy uwolnienia 2000 więźniów politycznych, jak uzyskania 2000000 bezrobotnych; efekt mógłby być zgoła dla jego idei niekorzystny. Nie sposób jednak wątpić, że bardzo wielu mówiących o tych 2000 wiedziało i o tych 2000000. Tylko nie lubiło o nich mówić, choć był to inny sposób od tego, w jaki nie lubi się mówić o Biegunie Wschodnim i Zachodnim.

orkanem zmian. Dlatego też np. z pełnym przyzwoleniem ówczesnych władz Polskiego Towarzystwa Matematycznego, Polskiego Towarzystwa Fizycznego i Polskiego Towarzystwa Astronomicznego podjąłem już w pierwszym półroczu stanu wojennego rozmowy z ówczesnym prezesem RSW *Prasa-Książka-Ruch*, Zdzisławem Andruszkiewiczem, na temat reaktywowania działalności *Delfty*, nie tylko zawieszonych, jak wszystkie czasopisma, lecz całkowicie zlikwidowanej na wniosek grupy inicjatywnej uczonych z Polskiej Akademii Nauk. Dlatego też nie miałem żadnych oporów przy organizacji OKMu w taki sposób, by organizacja partyjna siedleckiej uczelni mogła to wykorzystać dla poprawienia swojej opinii u swoich władz.

No dobrze, ale przecież opinii o jednaki nieprzyjazności dla oświecenia powszechnego obu wojujących stron wielu spośród zakładających OKM nie podzielało. Co więcej, wielu i dziś, kiedy sprawa stała się (moim zdaniem) udowodniona, nie podziela takiej ambiwalentności. Mogą się miotać między wołaniem o płatną oświatę i wołaniem o równy i nieskrępowany do niej dostęp, a nie widzieć żadnej w tym sprzeczności. Jak więc było możliwe, że ci wszyscy, różnie myślący ludzie potrafili współpracować? Wyjaśnienie potrafię znaleźć tylko jedno – wyżej cenili sobie współpracę, niż odrzucały ich od siebie wzajem różnice poglądów. Powiem więcej – pryncypialność przekonań nie stoi w żadnej sprzeczności z chęcią bycia razem z ludźmi, których szanujemy, choć ich poglądy nie są nam bliskie. Dla ilustracji – w *Kluczach królestwa* Cronina najważniejszą dla mnie sceną jest, gdy stary chiński arystokrata, pan Chia, prosi Franciszka o chrzest; gdy ten się wzbrania, wiedząc, że Chińczyk chrześcijaninem nie jest i nie będzie, ten mówi mu: *Jest wiele religii i każda ma swoją bramę do nieba. A teraz wydaje mi się, że żywię nadzwyczajne pragnienie wejścia doń twoją bramą.* Jeśli ktoś nie boi się nadmiaru wzniosłości, może ten cytat traktować jako motywację i główne spoivo OKMowskiego zespołu. W dalszej części tego tekstu spróbuję przełożyć to na kilka konkretnów.

\* \* \*

Gdy osiem lat temu powstawał Ośrodek, stosunek do niego był bardzo zróżnicowany, w czym nie było nic dziwnego, gdyż jedynym, na czym można było opierać swój sąd, były deklaracje założycieli. I dlatego profesor Ł sądził, że Ośrodek ma służyć drenazowi państwowej kasy na rzecz kieszeni założycieli, profesor T przypuszczał, iż założyciele to życiowi rozbitekowie próbujący znaleźć jakąś już nie Kolchidę, lecz choćby azyl na resztę życia, profesor G podejrzewał, że ma to być klub wybitnych postaci matematyki B, próbujących znaleźć sobie pole, na którym ich wybitność będzie (nareszcie!) widoczna, ale miejsce nie odróżniające się (przynajmniej z daleka) od klubów prawdziwych VIPów itd. Trochę inne były z pewnością wizje faktycznych założycieli.

Pierwszą kwestią była niepewność, czy rzeczywiście potrafimy „opowiedzieć matematykę laikowi”. Wielu matematyków kolekcjonuje rozmaite efektowne sztuczki dające się wpleść w wykład, anegdoty historyczne umiejscawiające dowodzone twierdzenia w jakichś „normalnych” historycznych okolicznościach, odnotowuje dane świadczące o nadludzkiej pracowitości, pamięci, niesłychanym refleksie czy dowcipie twórców matematyki. Niewielu jednak zmierzyło się na serio z pytaniem, czy można by całą matematykę opowiedzieć jako bohaterski epos, porywającą clownadę, albo serial przygodowy. My postanowiliśmy to sprawdzić, a raczej, wierząc w to *a priori*, postanowiliśmy nauczyć się robić to rutynowo. Dziś przypominając sobie tamte czasy jestem pełny zdumienia nad solidnością, z jaką zabraliśmy się do tej pracy.

Pierwsza OKMowska Szkoła Matematyki Poglądowej trwała 10 dni, wśród których były i zawierające osiem godzin opowiadania przy tablicy. Nazywało się to *Mozaika* i miało stanowić pierwszą ewidencję naszych zasobów (naszych – to znaczy tych wszystkich, którzy się chcieli razem bawić). Był to trudny do wytrzymania maraton. Od niego pochodzą tzw. własne Szkoły OKM.

Własne Szkoły OKM w swoim pierwotnym zamyśle miały być imprezami poświęconymi wyuczeniu się przez wszystkich (no, może prawie wszystkich)

*The keys of the Kingdom* Archibalda Josepha Cronina są książką stanowiącą fabularną wykładnię tego niezwykle pięknego nurtu myśli katolickiej, który kojarzony jest z osobą Jana XXIII i który zszedł, niestety, do grobu wraz z jego wybitnymi głosicielami na początku lat osiemdziesiątych.

Gdy przypominam sobie swoje marzenia związane z Ośrodkiem *in statu nascendi*, jedna myśl wydaje mi się zdecydowanie silniejsza od innych. Ujmując ją bardzo górnolotnie szło o zestrzelenie myśli w jedno ognisko i duchów też. Znacznie uogólniając: jedyny sens, jakiego dopatrywałem się w życiu, polegał na dzieleniu go z możliwie wieloma istotami – gdyby chodziło o coś innego, to jakże bezsensownie rozrośniętą i oburzającą wręcz swoim marnotrawstwem dekoracją do życia pojedynczego człowieka byłby Wszechświat, czy choćby tylko ta jego cząstka, jaką faktycznie tępymi zakreśla oczy. A – mimo doboru cytatu – nie byłem już człowiekiem młodym i wiedziałem, że to, na czym nam zależy, należy troskliwie pielęgnować. Tak więc sprawą, o której przede wszystkim postanowiłem pamiętać, dyrektywą, której przede wszystkim postanowiłem przestrzegać, była troska o faktycznie zbiorowy, swobodny trud swobodnie zrzeszonych ludzi. I to jest aspekt romantyczny, przynajmniej mojego, działania.

uczestników prowadzenia zajęć z ... (tu wpisać gałąź matematyki) na dowolnym poziomie. Rzecz jasna chodziło o dowolny wiek i dowolny poziom przygotowania słuchaczy. Dlatego też początkowo mieliśmy zamiar poszczególne Szkoły poświęcać kolejno dużym działom matematyki. Już jednak pierwsza taka Szkoła, poświęcona probabilistyce, wykazała, że model ten jest nietrafiony. Po pierwsze, nie wszyscy uczestnicy Szkoły, w szczególności nie wszyscy prelegenci, mieli ochotę faktycznie czegoś się uczyć. Po drugie, nie wszyscy chcieli prezentować matematykę pogładową – wielu chciało prezentować siebie i swoje wyniki (tym sposobem mieliśmy tym gorszą sytuację, im wybitniejszy był prelegent; to jednak jest żart: powyżej pewnego poziomu już się raczej nie stara dowodzić, że nie wypadło się sroce spod ogona). Po trzecie, wyraźnie zaznaczyły się skrzywienia środowiskowe – wielu prelegentów w ogóle nie przyjmowało do wiadomości, iż na sali może się znajdować ktoś, kto nie umie posługiwać się pojęciem, powiedzmy, kohomologii. Słowem, okazało się, że Szkoły należy jakoś przygotowywać, jeśli ma to być coś więcej, niż krótki turnus wczasowy z mało atrakcyjnymi występami. Po kilku początkowych Szkołach organizatorzy OKM spędzali całą nieraz dobę na niesłuchanie ostrych sporach na temat „gdzie jest przód, a gdzie tył” w tych kwestiach. I na czym stało to chyba widać.

Temat Szkoły powinien być raczej interdyscyplinarny – spotkanie się różnych gałęzi matematyki jest zawsze (jako zjawisko nienaturalne) ciekawsze i przeważnie mniej sformalizowane (język musi być zrozumiały co najmniej dla przedstawicieli dwóch dyscyplin), często wskazuje też jakieś ogólniejsze prawidłowości.

*De facto* zrezygnowaliśmy z wymogu uczestnictwa prelegenta w całej Szkole. To bardzo kontrowersyjna decyzja. Za nią przemawia napięty na ogół kalendarz sław. Warto jednak zauważyć, że to nie nasi najwybitniejsi koledzy na ogół mają dla nas najmniej czasu. W ten jednak sposób OKM nie ma żadnej możliwości uzyskania, od mniej więcej jednej trzeciej prelegentów, takich wykładów, jakich by chciał i to wcale nie dlatego, że konkretni prelegenci nie są w stanie takich wykładów poprowadzić – oni po prostu nie wiedzą, o co nam chodzi, z naszych wyjaśnień nie umieją tego odtworzyć, a (jeśli można tak powiedzieć) ducha OKM nie mają okazji poznać, bo straszny on właśnie na Szkołach, a ich tam nie ma.

Sprawa dobierania i tematów i prelegentów do określonej publiczności, co na początku wydawało nam się kwestią wielkiej wagi, musiała ustąpić wobec (dziś już tradycyjnie) niejednorodnego składu uczestników. Pierwotnie mieli to być ludzie, którzy – wyuczeni na Szkołach – będą dalej, „piętro niżej”, prowadzili także szkoły i tym sposobem nasza działalność (po kilku iteracjach) dotrze pod każdą strzechę. Tymczasem okazało się, że na Szkołach mamy ludzi z bardzo różnych poziomów zainteresowania matematyką. Ale ludzi żarliwych i gotowych znieść nawet takie przykrości, jak słuchanie wykładu niezrozumiałego od samego początku. Dostosowywanie odczytów do najmniej przygotowanego słuchacza jest niewątpliwym samobójstwem. Ale jeśli dopuści się już istnienie wykładów nie dla wszystkich zrozumiałych, to gdzie się zatrzymać ?

Nikt z czytających te słowa chyba nie wątpi, że opisany stan nie może być wynikiem jakichkolwiek ustaleń. Bo też historia Rady Programowej OKM przypomina standardową historię naturalną np. małżeństwa. Po kilku latach intensywnego docierania się (gdzie iskry lecą wokół, gdzie łamią się meble i pękają talerze) jakoś z nienancka bardziej wszystkim zaczyna zależeć na trwałości związku, niż na jego jakichkolwiek pryncypialnych założeniach. Istotnie, od pewnego czasu podsumowujących każdą Szkołę spotkań nie ma. Na kolejne Szkoły powstaje w sposób „plenarny” jedynie koncepcja. Świadomy zamysł został w praktyce zastąpiony działaniem na tyle tylko celowym, na ile celowym można nazwać niesienie przez mrówki zmarłego żuka do mrowiska – każda ciągnie w swoją stronę, a ogólna korzyść ze zbiorowego wysiłku jest jeno taka, że zmniejsza się tarcie. W rzeczywistości obraz taki jest jednak zafalszowany. Rada Programowa, stwierdziwszy zasadnicze różnice poglądów swoich poszczególnych uczestników, postanowiła zmienić swoją organizację

Właściwie to tutaj jest odpowiedź na literalnie odczytany list. Wydaje się jednak, że nie o najkrótszą odpowiedź Autorowi listu chodziło.

Aż strach bierze co by wyszło, gdyby dalej ciągnąć małżeńską analogię.

– od półtora roku członkami Rady są wszyscy, którzy kiedyś piastowali tę godność, i wszyscy, którzy mieli na własnych Szkołach OKM co najmniej dwa odczyty. Nie trzeba jednak wynajmować Sali Kongresowej na posiedzenia Rady – Rada jest w kompetentnym składzie, gdy uczestniczą w niej ci wszyscy, którzy są obecni na Szkole i mają ochotę poświęcić sprawom OKM trochę czasu. Daje to zadziwiająco zmienną tożsamość idei OKM. Jeśli się jednak przyjrzyć wynikom, to ostateczne decyzje programowe są zawsze wypadkową kilku opcji.

Pierwsza z nich to opcja „matematyczna”. Jej zwolennicy są zdania, że zadaniem OKM (a już Szkół własnych w szczególności) jest krzewienie kultury matematycznej wśród pracowników wyższych uczelni. Kultura matematyczna to, ich zdaniem, przede wszystkim umiejętność objaśnienia tego co nowe, tego, co słabo znane. To daje głosy oddawane na tematy dotyczące matematyki najnowszej i na dodatek sytuującej się na topie rankingów. *Nie udawaj matematyka tylko dlatego, że posiadasz wiedzę i umiejętności sprzed stulecia* mogłoby być ich hasłem.

Drugą opcję można by nazwać „ogólnokształcącą”. Jej zwolennicy wierzą w istnienie jakiegoś minimum ogólnej wiedzy matematycznej i owo minimum chcą przekazywać tak matematykom, jak i niematematykom. Ta opcja wyraźnie foruje historię, filozofię, wyniki klasyczne i klasyczne problemy. Jej zwolennicy głoszą, że analfabetyzm w wielu takich kwestiach jest wśród matematyków wcale nie mniejszy niż rozsądnie (to jest wśród „gramotnych”) obliczona średnia krajowa. *Każdy w pewnym stopniu jest matematykiem* – za tym hasłem jest postulat, by tym matematykiem stawać się w coraz większym stopniu.

I trzecia wreszcie opcja „społeczna” przypomina, po co to wszystko. Przecież u źródła legła chęć obrony tzw. szerokich (= niezamkniętych i nieustosunkowanych) rzesz przed edukacyjną zapaścią, przynajmniej od strony matematyki. Zwolennicy tej opcji lansują tematy wręcz dydaktyczne: jak przedstawić to czy owo, jak uczyć o tym czy tamtym, jak ominąć, czym zastąpić itp. *Nie ma tematów trudnych, są tylko źle przedstawione* – brzmi ich hasło.

I każda Szkoła jest mieszanką tych tendencji. Musi tak być, bo wiemy już, że każda z tendencji samodzielnie jest trudna do strawienia. Mieszanki są różne, ale też wydaje się, że dostatecznie demokratyczny mechanizm mieszania usprawiedliwia pewne przegięcia. I przysparza OKMowi rzeczników jego przesłania.

I w tym miejscu warto przypomnieć sobie, że własne Szkoły to miała być część pracy OKMu.

\* \* \*

Pierwsza OKMowska Szkoła na zamówienie odbyła się w Lublinie. Zamówienie do tego stopnia mnie zaskoczyło (bo przyszło na moje ręce), że odpowiedziałem na nie w duchu *sami się męczcie ze swoimi problemami*. Zaproszenie bowiem zamawiało u OKMu zaprezentowanie nauczycielom przykładowej realizacji konkretnych trzech haseł programowych. Przedstawiłem jednak tak list, jak moją odpowiedź Radzie i tak mi się dostało, że do tej pory myśląc o tym się czerwienię. Wyprawa OKM do Lublina była początkiem akcji samokształceniowej pierwszego składu Rady Programowej OKMu. Chodziło o trzy czterdziestopięciominutowe odczyty, pojechało nas do Lublina (na własny koszt) dziesięcioro: troje (po kolei) mówiło, a każdego odczytu poza faktycznymi odbiorcami słuchało dziesięcioro recenzentów. Takich imprez, gdzie liczba recenzentów OKMowskich znacznie przewyższała liczbę prelegentów, było jeszcze parę. I potem zaproponowaliśmy, że każdy, kto nas zaprosi, będzie miał (za cenę zwrotu kosztów podróży) to, co zamówi z listy tematów opublikowanej i rozpowszechnionej (nie tylko w *M-S-N*, np. otrzymały taką listę wszystkie WOMy). I przez pierwszy rok pojechaliśmy w ponad 50 miejsc. A więc średnio co tydzień jakaś (przynajmniej trzyosobowa) ekipa OKM prowadziła Miniszkołę Matematyki Poglądowej. To było piękne, ale – co łatwo zrozumieć – zaczynało też być straszne.

Można do tego dodać cyniczne uzupełnienie. Ludzie OKM „opłacani są” jedynie poprzez możliwość realizacji tego, co się im podoba.

Nie jest rzeczą łatwą utrzymać sytuację, gdy **każdy** otrzyma możliwie wysoką kwotę w takiej walucie. Na próbach realizacji owego maksimum w wielu punktach polega – w moim rozumieniu – moja praca w OKM. Myślę nawet, że mi nieźle idzie, bo OKM się nie rozpada.

W tym miejscu odpowiedź na list wydaje się już kompletna, ale to tylko pozór.

W sytuacji, gdy większość naszych kolegów zabiegała o (a czasem wręcz wymuszała) rozmaite chałtury, my proponowaliśmy tanie i dostosowane do życzeń usługi. Poza tym, jeśli ktoś miał (poza normalną pracą), powiedzmy, siedem weekendów w roku (bo wyjazdy najczęściej były weekendowe) wyjętych z życia, to mógł się czuć – delikatnie mówiąc – zmęczony. Tym śmieszniejsze jest, że praktycznie nikt nie podniósł ani pierwszej, ani drugiej z tych spraw. Podniesiona kwestia była natury intelektualnej: jeżeli sprawa się będzie rozwijała, to (gdy już będziemy mieli całą Polskę do obsłużenia) bariera prędkości światła może uniemożliwić nam odpowiednio szybkie przemieszczanie się z miejscowości do miejscowości. W pierwszym kroku odrzucać zaczęliśmy zaproszenia na spotkania z dziećmi – to powinni załatwić słuchacze naszych odczytów dla dorosłych. Potem zaczęliśmy zabiegać o nawet kilkuletnie akcje kształceniowe w jednym środowisku – efektem miała być w perspektywie samodzielna działalność najaktywniejszych jego uczestników. Słowem, chcieliśmy, by OKM rozmnażał się przez pączkowanie.

Pierwszy taki pączek to nasz kontakt z grupą warszawskich nauczycieli. Grupa ta zorganizowała się samorzutnie, na czele (tak to od nas wyglądało) stały Maria Małek i Barbara Leciejewska. Nauczyciele ci organizowali sobie samokształcenie. W efekcie, w ciągu 2,5 roku odbyło się 5 pięciodniowych Szkół Matematyki Poglądowej (prowadzonych przez zaproszony do tego OKM) i podobna liczba spotkań dwudniowych. Jak wielkie było zaangażowanie uczestników, świadczy fakt, że oni sami potrafili załatwić sprawy socjalno-bytowe takich Szkół, że na Szkołach prowadzili notatki tak starannie, iż można było z jednej ze Szkół wydać napisaną przez dwunastu uczestników książkę *Szkola geometrii. Odczyty kaliskie*. Książek takich miało być więcej. Spotkania dwudniowe (poświęcone rozwiązywaniu zadań) organizowane były bez naszego udziału. Wydawało się, że działalność ta usamodzielnia się i że OKM będzie miał warszawską filię. Tak się jednak nie stało. I trudno powiedzieć dlaczego. Chyba znów zdecydowało to, iż nie można do „normalnego” życia dołożyć na dłuższą metę jeszcze intensywnych obowiązków OKMowskiego typu.

W sposób bardziej systematyczny działały te odnóżki OKM, które działały wolniej – np. Maria Borowska systematycznie prowadzi w tarnobrzeskim taką pracę. Nasze próby instytucjonalnego implementowania intensywnej odmiany lokalnego OKM zostały uwieńczone sukcesem np. w Warszawie: działało tam przez 1,5 roku wspierane przez Kuratorium Warszawskie i Wydział Matematyki, Informatyki i Mechaniki UW Podyplomowe Studium Matematyki Poglądowej, ale i ono nie posiadało zdolności samokontynuacji.

Na zaproszenia wyjeżdżamy i teraz. Takich wyjazdów jest w ciągu roku kilkanaście i to nie przekracza zbiorowych możliwości ludzi OKM. Można by zapytać, czy taka dysproporcja między maksimum i stanem równowagi nie jest przygnębiająca.

I to jest chyba właściwe miejsce na odpowiedź mojemu korespondentowi. Nie mam recept dla konsumentów. Każdy, kto traktuje świat, jak zastawiony dla niego stół, na pewno nic nie skorzysta pytając mnie tak o radę, co i w jakiej kolejności spożywać, albo narzekając wobec mnie na to, iż w moich okolicach zastawiony stół wydaje mu się niezbyt apetyczny, a potrawy nie całkiem strawne. Jeśli ktoś natomiast chce zastawiać stoły dla innych, to wyżej pokazałem chyba dostatecznie wiele miejsc na ustawienie stołu i dostatecznie wiele sposobów, jak je nakrywać, by wybrać coś dla siebie.

\* \* \*

W Mordach, gdy wjeżdżać do nich od zachodu, stoi przy drodze, nad jeziorkiem – rozlewiskiem rzeczki, pałac z wczesnych czasów saskich, choć zbudowany na miejscu piętnastowiecznego warownego zamku. Pałac ten został przed ośmiu z górą laty ofiarowany OKMowi przez ówczesnego Rektora WSR-P w Siedlcach, nieżyjącego już Jana Trętowskiego. Na szczycie frontonu, nad niewielkim tarasikiem widnieje herb *Doliwa*, którego parafrazą jest nasz OKMowski znaczek.

Na pytanie o przyczyny ustania (po owych 2,5 latach) działalności tego zespołu otrzymałem dwie identyczne odpowiedzi (jedną z wewnątrz, drugą z zewnątrz niego): *to jest jak piękna przygoda miłosna – angażuje bez reszty, wzbogaca nasze życie już na zawsze, ale kończy się powrotem do codzienności i tego żalować nie trzeba. Przyszanuj, że byłem zaskoczony taką interpretacją. I zawstydzony, bo jest ona lepsza niż wszystko, czego się spodziewałem.*

Wygląda na to, że OKM nigdy nie będzie mieścił się w swoim pałacu. Pałac musi bowiem uprzednio zostać wyremontowany, co – ponieważ jest zabytkowy i pod kontrolą konserwatora zabytków – kosztuje niesłychane góry pieniędzy. Odwiedzamy go od czasu do czasu. Np. w sierpniu ubiegłego roku w parku pałacowym odbyło się bardzo sympatyczne ognisko uczestników kolejnej Szkoły Matematyki Poglądowej. I zdaje się, że niczego więcej nie możemy od pałacu oczekiwać.

A jednak. Nie sędzę, abym był jedynym człowiekiem OKMu, który już nieraz widział tłumnie wysypujących się z pięknego jak cacko pałacu radosnych uczestników Szkoły Matematyki Poglądowej biegnących się wykapać w jezioru. Spieszą się. Mają przecież przyjechać delegacje wszystkich 27 filii OKM i trzeba się odświeżyć przed ich przybyciem. Seniorzy, którzy spokojnie wyszli z pałacu za rozbrykaną młodzieżą, zajmują swoje, tradycyjnie zawłaszczone miejsca na wielkich kłocach leżących pod starutkami, ale wciąż płodnymi rajskimi jabłonkami. Czekają tam na nich zimne piwo, które dostarczy im należytego wigoru na zbliżające się spotkanie (a i usprawiedliwi ewentualną drzemkę)...

Nie widzieliście tego? – to tylko Wasza wina. Widać zbyt wiele uwagi poświęćacie tropieniu tego, co jest nie takie, jak byście chcieli, nie takie, jak miało być. Zbyt Was razi czyjeś lenistwo, czyjaś głupota, bezmyślność czy próżność. A może jesteście zbyt wygodni? A może pozwalacie sobie, po prostu, na rozczulanie się nad sobą.

Nie prześladujcie zła zbyt uporczywie. Owo zaniechanie to droga nie tylko do równowagi charakteru i pogody ducha. To jest też jedyna droga do przyjaznej ludzkiej pracy.